





J. I. KRASZEWSKI.



# EWUNIA.

Opowiadanie z końca XVIII wieku.

— — — — —  
TOM II.

WARSZAWA  
NAKŁADEM „ZIARNA”

—  
1913

---

Druk E Szyllera, Tamka Nr. 46.

Nikt się dziwić nie będzie, że w końcu XVIII wieku, frauncymer panny podczaszanki jeszcze żył popoezją trubadurów i rycerskich czasów; zachowują się bowiem w pewnych zakątkach i kółkach, dłużej prastare podania i dziś by może znalazły się dwory, w których stara bajka słowiańska żyje, a kwitnie jak przed wieki.

Wśród otaczającej młodzieży, rada była Ewunia znaleźć sobie bohatera do pary, ale szukała na próżno. Walek i Szczeppek najpiękniejsze chłopaki z okolicy, nie byli wcale do rycerzy zakochanych podobni, weseli, dowcipni, różni, nie mieli uroku tajemniczego, który w baśniach wybranych cechuje. Chorąży był sta-

ry, rejent zbyt jowialny, Herciński zimny, Machcewicz śmieszny, a Dydak głuptasek. Żaden z nich nie podobał się Ewuni. Nikt w świecie też przypuścić nie mógł, żeby jej ubogie chłopię, takie jak Sykstus Warka, mogło wpaść w serce i oko. Stało się to jakoś niepojętem chyba przeznaczeniem czy fatalnością, Właśnie to, na czem zbywało innym. przynosił z sobą milczący, cichy, nieśmiały chłopak, którego oczy świadczyły tylko że Ewunię ubóstwiał.

Biedak ten miał sobie za szczęście spełniać najdziwaczniejsze zachcenia podczaszanki, był jej niewolnikiem, sługą, a usta nigdy serca nie zdradziły. Ta miłość tajemnicza, bez nadziei, w sukni wytartej, stojąca u progu, zawróciła głowę dziewczynie. W domu nikt na przybywającego Warkę nie zważał, nikomu też i na myśl nie przychodziło, ażeby on śmiał oczy podnieść na Ewunię, lub

ona je zniżyć na niego. Stało się czego nikt nie przewidywał, pieszczona jedynaczka stworzyła sobie królewicza z tego ubogiego kancelisty.

Być bardzo może, iż się do tego przyczyniło i to, że rodzina Sykstusa była bardzo majątną, posiadała dobra znaczne i że o upadku jej często opowiadano, równie jak o dawnej zamożności. Sykstus był chłopakiem z powierzchowności bardzo pięknym, i mimo swojego ubóstwa, na czole nosił wypisaną duszę szlachetną. Znać w nim było sierotę z wielkiego domu, nawet w obejściu przy skromności wielkiej, miał coś pańskiego. Ewunia z instynktem jedynaczki, pieszczoszki, zgadła może, iż w nim mieć będzie niewolnika bez upodlenia, że dlań będzie królową zawsze.

Jak do tego przyszło, że Sykstus przemówić się do niej odważył, wytłumaczyć trudno, zapewne ona go

sama ośmielić musiała, ona pierwsza przemówić do niego. Sykstus przyjeżdżał często, bawił po dni kilka, była więc zręczność zbliżyć się doń i ośmielić go. Ewunia nie dała mu nic więcej poznać nad to, iż miło jej było pomówić z nim czasem. Wyjeżdżającemu najosobliwsze zlecenia wymyślała do miasta, obarczała go sprawunkami, męczyła przepisывaniem, desenikami i t. p. Sykstus spełniał to wszystko z najżywszą radością, a co więcej, nie przeszedł nigdy granicy mu zakreślonej, i choć wywoływano z niego słówko, któreby miało większe jakieś znaczenie, nie śmiał go wyrzec nigdy, mówił tylko westchnieniami i oczyma.

Jak potem z długiego nowicjatu próby tej przeszedł do niespodziewanego raju, jak mu Ewunia powiedziała, że może jej serce pozyskać, byle jej wierzył i cały się jej poświęcił, tego opowiedzieć nie potra-



fimy. Dosyc, że Sykstus zaufał dziecku i obietnicy dziecięcej, i zaprzyściągł jednego ranka pod oknem podczaszego stojąc, że jej życie swe oddaje, że gotów sto lat czekać na nią, i choćby umrzeć dla bohdanki.

Ewnnia dała mu za to królewską swą rączkę do pocałowania, uśmiech anielski i słowa:

— Chyba umrę, a będę twoją.

Najgłębsza tajemnica okryła ten dramat młodzieńczy, z którego by się świadek posiwiąły z politowaniem się uśmiechnął.

W domu może dziewczęta co wyspiegowały, może pani Kropiwnicka coś słyszała i z trwogi pościła nowennę, aby panience z głowy to wywietrzało, ale tak bardzo głośną nie była miłość, która miała upodobanie osłaniać się i ukrywać. Często bardzo Sykstus przybywał, siedział dni parę, i nie miał z ręczności inaczej jak przy ojcu coś obojęt-

nego do Ewuni przemówić. Upływały miesiące nie widzenia, które miłość wzajemną wzmagaly. Ewunia sobie poprzysięgła uroczyście, iż słowa dotrzyma, a Sykstus gotów był cierpieć i wysługiwać się wieki, byle czasem z jej oczyną się spotkać.

Domowi nie mieli najmniejszego podejrzenia tego faktu i przysięgi, a obcy, ludzie nowi, dobadali się go, odgadli z kilku nieostrożnych oznak.

W czasie tych zapust właśnie doszledzono, że Sykstus po cichu kilka razy rozmawiał z Ewunią, że się spotykali zbyt często, że raz w oknie stali razem długo, czemu on wcale nie był winien.

Zazdrosna młodzież gotowa się więc ostrzedz pana podczaszego w jakikolwiek sposób, i tego niebezpiecznego pozbyć się rywala, ktoś nawet jakaś wielce znaczącą pono rozmowę podsłuchał.

Długo zapewne rozmyślano nad

środkami, jakich użyć wypadałoby ojcu to oznajmić, chwycono się w końcu najmniej godziwego, który po wsze czasy służył ludziom bojaźliwego serca, a jadowitych usposobień.

Jednego wieczora, gdy podczaszy siedział sam jeden w tak zwanej kancelarji swej, i prawdę powiedziawszy, nad papierami drzemał, wszedł posłaniec, który zwykle do miasteczka jeździł po listy na pocztę i przyniósł ich kilka zawiniętych w czystą szmatę, którą z za sukmanki dobył. Ucałowawszy rękę podczaszego, złożył je na brzeżku stołu.

Podczaszy spytał o drogę, i powietrze, o zepsuty mostek, o targ w miasteczku, kazał posłańcowi dać wódki kieliszek, a sam nałożywszy okulary, zabrał się do czytania korespondencji.

Listów zwykle przychodziło mało, bo więksi właściciele ziemscy,

w niedostatku gazet, mieli w stolicy i na prowincji swych korespondentów, którzy dla nich wszelkie chodzące wieści zbierali.

Pisywano też z okazji sejmików, kandydatur, procesów, z powinszowaniami, i polecając się sercu braterskiemu współobywateli.

Kilka z tych listów po adresach i pieczęciach poznał podczaszy tak dobrze, iż się nawet śpieszyć z ich odczytaniem nie potrzebował; odłożył je na stronę, będąc pewnym, iż zwykłe formuły zawierały. Jeden szczególniej zwrócił jego uwagę, gdyż i pisma na kopercie poznać nie umiał, i pieczęć była nie szlachecka, ale jakaś fantazyjna. Obracał go w rękach, podszedłszy do okna, nim rozpieczętował, dosyć długo głową kiwał, naostatek rozłamał pieczęć, rozłożył, poszedł zaraz do podpisu i — nieznalazłszy żadnego, zaciekawiony czytać począł. W miarę jak

czytał wszakże, twarz jego ze spokojnej i rumianej, stawać się poczyniała coraz ciemniejszą i bardziej nachmurzoną. Pofałdowało się czoło, oczy nabiegły krwią, ręce trząść zaczęły, nogą uderzył kilka razy o podłogę, naostatek w impecie wielkim kartę rzucił o ziemię. Stał jakiś czas przybity, nie wiedząc co począć, po czołe ręką posunął, schylił się, podniósł list i powtórę czytać go rozpoczął, i znowu nim cisnął, kopiąc go nogą. Po namyśle wszakże zmięty arkusz szarego papieru wziął jeszcze, zwinał go i śpiesznie włożył za kontusz, a sam głowę spuściwszy, po izbie przechadzać się począł. Widocznem było, że go korespondencja ta do żywego poruszyła i zgryzła, kilka razy zabierał się wyjść i od proga powracał, wychylił się wreszcie do sieni i zawołał chłopca z blizkiego kredensu.

— Idź mi, księdza tu poproś, tylko zaraz.

Chłopak pobiegł pędem do oficyny.

Tymczasem podczaszy to siadał, to wstawał i przechadzał się, listu dobywał, przebiegł go oczyma, pluł i kłął, a czoło tarł. W takim poruszeniu zastał go ojciec Gula, który z wesołą twarzą na zawołanie nadbiegł.

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki wieków — zmienionym wielce głosem zawołał podczaszy, jękając się z gniewu i wzruszenia, i podszedł ku drzwiom żywo. — Mój ojczel! mój ojczel, wyście moim przyjacielem, jak z druhem dzielę się biedą, ciężką biedą, dopustem Bożym.

Gula stał wielce zdumiony i wylękły.

— Na Boga! cóż się to panu podczaszemu stało.

— Chodź, chodź! — rzekł stary, wiodąc ojca do okna — weź, naści,

czytaj i sam powiesz, czy nie darmo  
wnętrznosci we mnie kipią.

Ojciec Gula posunął się co żywo  
do okna, ujął papier, począł po ci-  
chu czytać — i — oniemiał.

Przeczytawszy, nie rzekł słowa,  
dobył chustki z rękawa i czoło o-  
tarł.

— No, cóż ty na to? co ty na to?

— Ale bo, panie podczaszy—rzekł  
ojciec — *primo*, wiedzieć trzeba, że  
kto podpisu na liście nie kładzie,  
jakby z za płotu strzelał. *Infamis*.

— Już mi o to nie idzie, *infamis*  
jest i list *infamia*, ale czy w nim  
choć cień prawdy jest? A jeżeli fałsz  
i potwarz, czy ona już tak rozsze-  
rzona i rozbębniiona, że sławę dobrą  
domu mojego i najdroższego dziecka  
dotyka.

Ojciec Gula ciągle czoło ocierał,  
myślał, dumał, naradzał się z sobą,  
co ma odpowiedzieć.

— Wy ojczyźnie mieszkacie tu u mnie,

jesteście domowym, znacie życie moje, nasze, czyście co podobnego dopatrzyli? czy wam to na myśl przyjsć mogło?

Ojciec dumał. — Mój panie podczaszy — rzekł w końcu — jam zakonnik, ja w kacie siedzę, mnie świat nie obchodzi, co ja wiedzieć mogę?

— Ale przecież, gdyby tak było, toby ci się, czy o oczy, czy o nszy obić musiało.

— Jakim sposobem — odparł Reformat — ja zrana pacierze klepię, po mszy świętej w stancji czytam, albo idę na folwark, potem obiad, nieszpory, brewiarz, czasem z jegością w marjasza zagramy, no i o dziesiątej spać.

— Mów-że, czy to może być?

Ojciec się znowu zadumał.

— Mój panie podczaszy — odezwał się, całując go w ramię — tylko bez gorączki, tylko powoli i nie



robić z tego historii żadnej. Ja wam powiem, co myślę, przyjmiecie lub nie, jak się wam podoba, gniewać się nie będziecie. W chłopcu krew nie woda, młody, toć się i w obrazie rozmiłować mógł, spojrział może raz a drugi, ktoś wzrok złapał i z tego wysnuł. Nie można zaręczyć, żeby on nie admirował panny podczaszanki, boć tego i najbiedniejszemu wzbronąć trudno, ale żeby ona, wychowana w takim domu, znając rodziny swej dostojność, miała oczy i serce zwrócić na ubogiego palestranta, gdzież to być może? gdzie to być może? — powtórzył Reformat ręce podnosząc.

— Ale i jabym sądził tak samo — rzekł podczaszy — tylko nie przypuszczam nawet, żeby chłopiec do tyla miał być zuchwały, żeby śmiał nawet wzrok zbytnio zwracać ku mej córce, od której go dzieli przepaść. Gdzież co podobnego kto widział? jakby śmiał? he? Ten hołysz!

ten pauper, którego ja od głodnej niemal śmierci ratowałem? ten gołowąs, ten...

Podczaszy poczynął się gniewać.

— Dobrodzieju — przerwał ksiądz, całując go znowu w ramię — najgorszy gniew, bo oczy zasłania. Nie ma tu się czego jątrzyć. Strzeżonego Pan Bóg strzeże, chłopca więcej ani na próg, a najlepiej napisać do Żółtkiewicza, że mu się daje na podróż, aby *co instante* do Lublina sobie jechał. Ale ani go tu wołać, ani podczaszance o tem wspomnieć, koronkę do Przemienienia Pańskiego zmówić, aby zbytni ów animusz Pan Bóg raczył ukoić, i cicho, cicho, cicho.

Podczaszy słuchał i Reformata też rozczulony w ramię pocałował, a ten go w łokieć. Popłakali się obaj.

— Mój podczaszy, tylko się uspokójcie, szklanek wody, a list na ogień, bo to infamja.

W kominie się właśnie paliło. Pod-

czaszy rzucił w ogień papier i nogą popchnął, aby coprędzej spłonął.

— Szczęśliwie mnie Pan Bóg natchnął — rzekł głosem cichym — iżem się do was po przyjacielską i kapłańską radę udał. W pierwszym impecie byłbym na Ewunię wpadł, Kropiwnicką złajał i dom do góry nogami wywrócił. Byłoby z tego gadania więcej, niż warto. Macie słuszość, *motus*, cicho, ani słowa. Niech go Żółtkiewicz wyprawi do Lublina, a Ewuni darmo tem męczyć się nie godzi, toć niewinne stworzenie jak dziecko niemowlątko, po co pokój jej zakłócać.

— I ludziom siebie i dom dawać na zęby — rzekł Reformat.

Podczaszy się znacznie uspokoił.

— Siadaj, mój ojcie, jeszcze pomówić potrzeba. Jesteś dobry do ra-  
- - - . Poślę waszemu klasztorowi becz-  
- - - miodu, pięć baranów i pszenicy na  
opłatki.

Reformat pocałował go w ramię, zasiedli więc przy stole.

— A jeśli już z łaski swej—rzekł —dopuszczicie ubogiego sługę do rady, toć dodam. Aby wam troski się ujęło, na co dziecię długo w domu trzymać, gdy je Pan Bóg matki pozbawił. Trafi się uczciwy człowiek, z substancją, z imieniem, z głową, o co podczaszance nie trudno, oddajcie mu ją.

Podczaszy westchnął głęboko, łzę otarł płynącą po twarzy.

— Ojciec mój — rzekł cicho — dobrze to wam mówić! ależ czem się stanie dom mój sierocy, gdy mi tego jej srebrnego głosiku i tej twarzyczki uśmiechniętej dziecięcia mojego nie stanie. Jak ja bez niej żyję? Ona dla mnie żywem wspomnieniem nieboszczki mojej, tego anioła, którym się tak krótko cieszyłem, ona mi wszystkim.

Zapłakał stary, aż zaszlochał.

— Ależ to nieuniknione — mówił Reformat — musicie ją wydać przecie, bo dla waszego szczęścia poświęcić dziecka nie zechcecie. Może też się tak złoży, że zięć przy panu podczaszym zamieszka.

— Mój ojciec — dodał stary — alboż i to mała troska, komu ją dać? Znacie młodzież terażniejszą, znacie obyczaje świata dzisiejszego! mnie się nikt jej godnym nie zda!

— A przecież trudno dla tego zwlekać, śmierć i żona, mówi przyszłowie, od Boga przeznaczone, tak ci samo i mąż; ufać potrzeba Opatrzności.

Podczaszy obie ręce wzniosł do góry, jakby się modlił, westchnął i w niebo spojrzał. Gniew widocznie przechodził i zmieniał się w rozczulenie jakieś. Podparł się na łokciu, zamyślił ponuro.

— Najpierwsza rzecz wszakże — szepnął, jakby wychodząc z osłupie-

nia — do Żółtkiewicza napisać, by chłopaka pchnął precz, dokąd chce, do Wilna, do Piotrkowa, do Lublina, byle go tu nie było. Już to powiem ci, ojcze, ani mi się wierzyć chce, by mi taką zdradą za moje miłosierdzie się wypłacił. Lubiłem go, i — o ile przekonać się mogłem, dobry był w gruncie chłopiec, usłużny, skromny, pokorny. Gdzieby on co podobnego mógł zamarzyć. Ale ludzkie języki! ludzkie języki.

Przez chwilę zamilkł podczaszy, jak gdyby go myśl jakaś uderzyła nagle.

— A no, i wysłać go tak zaraz, to ci, co list ten pisali, assumpt nowy do szkalowania wezmą, powiedzą: musiało coś być, kiedy go wygnano.

Reformat zamyslił się.

— Hm, jest poniekąd racja — rzekł — ale cóż lepszego począć można? Wzbronić mu tu przyjazdu trudno, bo asindziej masz interesa mnogie

u Żółtkiewicza, ten go pewnie, wedle zwyczaju przyśle. Mecenasa zaś do konfidencji przypuszczać, mnie by się nie zdawało.

— Ani mnie — pośpiesznie rzekł podczaszy. — Lecz co poczniemy? co!

Zuów tedy przechadzać się po izbie jał, krokami wielkimi, sumując, a Reformat tylko tabakę zażywał po cichu.

-- Samym nam wyjechać — rzekł po namyśle, zwracając się ku niemu podczaszy — to na jedno wyjdzie, co jego odprawić. Nikt mnie nigdy skorzy do podróżowania nie widział, bo mi w domu najlepiej, ruszym się nagle, to te złe duchy szatańsko się rozśmieją.

--Nie można!—rzekł Gula — nie można. Chłopiec zniknie i nikt nie postrzeże. Zrobimy tak, jeśli asindziejowi się zda. Ja jutro pojedę do klasztoru, bo i tak potrzebę miałem. Wstąpię do Żółtkiewicza lub

go do gwardjana poproszę, powiem mu *sub rosa*, że Sykstus... naprzykrzył się wam, aby go tu nie przysłał. A po jakich dwu miesiącach, gdy się rzeczy utra i zapomną, dopiero go w świat popchniemy.

Na takich naradach zbiegł czas do wieczery, a gdy podczaszy wyszedł na głos dzwonka do pokoju, w którym nań córka wesola, rezydenci, dwór i oficjaliści czekali, mimo największego starania o to, by po nim nikt nie poznał, iż miał coś na sercu, nie omyliło się oko niczyje. Córka pierwsza przeczuła, czy wyczytała z twarzy, iż ojcu się coś nieprzyjemnego trafiło. Były jednak w gospodarstwie nieraz kłopoty, i na myśl nie przyszło, aby się to jej tyczyć miało.

\*

\*

\*

Życie u pana mecenasa Żółtkiewicza należało do tych błogosławio-



nych prób, na których się młodość hartuje do przeznaczeń przyszłości. Stary był pracowity i dla siebie nie potrzebował wiele, wymagał też od swych podwładnych, aby się zaspakajali jak najmniejsem, a pracowali do zdechu. Zrana pani Wawrowa dawała mleko z chlebem, zacierkę lub kaszę, mecenas tylko pił kawę, która z tego już względu nie mogła być udziałem wszystkich, że wymagała cukru, a cukier należał do tych zapasów zamorskich, od których klucza nie powierzała hrabina Brannicka nawet nikomu.

Obiad jadali wszyscy razem, złożony w dni mięsne, z krupniku z mięsem i jakiejś niewinnej przystawki, w postne dni z mleka i kaszy. Na wieczerzę dawano oddzielnie palestrantom potrawę jakąś, już przez to podejrzaną, że dla nich tylko była przygotowana.

Sieboń zaręczał, iż kaszę okrasza-

no w ekonomiczny sposób świecami łojowymi i robiono jej osobny zapas dla młodzieży, gdy stęchłej za bezcen dostać było można.

Oprócz izby, w której była kancelarja i sypialnia mecenasa, inne opalane były tak skromnie, iż zimą przy oknach woda w nich marzła. Ale to hartowało młodzież. Nie były to więc rajskie rozkosze. Żółtkiewicz ostry, surowy, nieubłagany, gdy szło o spełnienie obowiązków, nie dopuszczał się nigdy gniewu ani grubiaństwa. Obawiano go się tem więcej. Oprócz tego młodzież spostrzegła rychło, że choć pozornie nic nie widział, w nic nie wchodził, oka jego nic nie uszło. Przypomniawszy często w pół roku, rzecz tak drobną, że winowajcy sami już o niej byli zapomnieli. Nie okazywał nigdy żadnej czułości dla młodzieży, trzymał ją ostro, do godzin był przywiązany ściśle, lecz nudziarzem drobnostko-

wym nie był. Nie chwalił nigdy, ale nie łajał wcale, dość było, gdy ponuro zmilczał i brew namarszczył, wiedziano, co to znaczyć miało.

Sykstus był już u niego od lat kilku, w ciągu tego czasu dowodu łaski nie odebrał żadnego, lecz czuć było w powierzanej mu pracy, w obejściu się z nim, że umiał go cenić. Była to prawa ręka mecenasa, której zawierał najtrudniejsze roboty, czego Sieboń zazdrościł. Garbus miał daleko więcej przebiegłości, sprytu, ale się z niemi zbyt nierzucał mecenasowi, który tego popisu nie lubił. Znać było z pierwszeństwa, jakie dawał Sykstusowi, że jego skromność więcej cenił. Pani Wawrowa też, która i mecenas nie szczędziła, gdy w gniew wpadła i przeżywała go starą wątrobą, a Siebonia garbusem, Sykstusa nie łajała nigdy inaczej jak delikacikiem lub fanaberją, i miała pewną do nie-

go słabość. Nakrzyzczała nań, bo już bez tego być nie mogło, ale koniec końcem zrobiła o co prosił. Nawet garbus, który cały świat nienawidził, ujęty łagodnem, braterskiem obejściem się z sobą Sykstusa, kochał go i poprzysiągł mu przyjaźń wiekuistą. Pod tym względem Warka był, można powiedzieć, szczęśliwy, bo go niemal wszyscy lubili, a wesola i piękna pani Bółtuszevska, usilnie życzyła mężowi, aby go przeciągnąć do swej kancelarji.

W parę dni po opisanych wypadkach zapustnych, w niezwyklej wcale godzinie, właśnie gdy Syktus zajęty był bruljonem powierzonego mu pozwu, Wawrowa otworzyła drzwi kancelarji i zawołała:

— Pan Syktus, do jegomości.

Syktus podniósł głowę, ale już owo zjawisko znikło, włożył więc pióro za ucho i poszedł na przeci-

wek. Żółtkiewicz z założonemi w tył rękami przechadzał się zamyślony, wlokąc za sobą długo puszczonego konieć chustki od nosa.

Młodzież, która zewnętrzne oznaki humorów trafnie spostrzega, oddawna się przekonała, iż zapomnienie takie, zwiastowało u mecenasa głębokie zaprzątnienie jakąś sprawą lub nawet smutek i zafrasowanie.

Gdy Sykstus wszedł, Żółtkiewicz stanął, popatrzył na niego długo, i nic nie mówiąc chodzić znowu począł zamyślony po izbie. W takim razie ceremonjał i zwyczaj wymagały, aby powołany czekał, aż mecenas sam się odezwie i spyta lub wyda rozporządzenie.

Tym razem wszakże Sykstus z nogi na nogę przestępując, chrząkając, stał, stał, minuty mijały, a Żółtkiewicz chodził, chodził i nie mówił słowa. Odważył się odchrząknąć, aby się przypomnieć, nie pomogło nic. Trze-

ba było czekać. Widocznie ważna jakaś sprawa zajmowała umysł poważnego starca.

Prawie kwadrans długi upłynął w tem osobliwszem milczeniu, nareszcie mecenas stanął naprzeciw Sykstusa, spojrział na niego i odezwał się:

— Proszę mi powiedzieć szczerze tego, ale jak ojcu, i niech to zostanie między nami, czemci się asan mógł narazić panu podczaszemu?

Sykstus osłupiał.

— Ja? panu podczaszemu? — rzekł po namyśle — ale, wyjechałem z tamtąd obdarzony przez niego i rozstałem się jaknajlepiej, to nie może być, proszę pana mecenasa, to nie może być, któż to powiada?

— No, nikt? ja pytam, mam powody! — odparł Żółtkiewicz i począł chodzić. Sykstus stał to czerwony, to blady, drżący, niespokojny, a odezwać się nie śmiał.

— Powiadasz asan, że nic podobnego nie było? — spytał mecenas.

— Ja przynajmniej nic się podobnego domysleć nie mogę, ale proszę pana mecenasa, zkadże...

Żółtkiewicz się odwrócił.

— Nie ma nic, niema nic. Myślałem tylko, ja, sam, dorozumiewałem się, iż może coś czasu zapust zaszło, bo oto właśnie wypada papiery wieźć do Góry, a odbieram ztamtąd wyraźnie żądanie, ażeby nie kto inny jak Sieboń z niemi przyjechał.

Syktus zmilczał, zrobiło mu się boleśnie, przykro, zaćmiło w oczach, zrozumieć tego nie mógł.

Stał i milczał.

Żółtkiewicz się odwrócił ku niemu.

— Wracaj asan do roboty! — rzekł krótko. Warka się skłonił i powrócił do kancelarji, dopadł stołu, krzesła, pochwycił pióro, pisać nie mógł w głowie mu się kręciło. Sieboń postrzegł, że coś nowego się święci.

— No! czego on chciał — zapytał?

— Albo ja wiem! — rzekł Sykstus, i na gwałt pisać zaczął.

Sieboń napróżno starał się z niego dobyć cś więcej, nie mógł już ani słowa. Mocno go to podrażniło. Po obiedzie z kolei głowa pani Wawrowej ukazała się we drzwiach i zawołała:

— Garbus do jegomości.

Mimo niedość grzecznego wyrażenia, Sieboń, który miał zwyczaj siadywać na podkurczonej nodze, zerwał się tak szybko, iż mało krzeselka nie wywrócił i wybiegł. Nieszczęście chciało iż wpadając do, pokoju mecenasa, stuknął drzwiami i wywołał nader groźne wejście.

— Pojedziesz asan z papierami do Góry — rzekł Żółtkiewicz — furmanka czeka u Zelmana. Proszę się zatrzymać tam, ile pan podczaszy będzie wymagał, a wracając nigdzie nie wstępować. Odzienie na drogę



wziąć codzienne, a przed Górą w Pocięsie można się przebrać.

Pierwszy to raz jak Sieboń był tu, posyłano go do Góry, Sykstus miał przywilej jeżdżenia tam jako daleki krewny, zdziwienie więc było wielkie. Garbus powrócił nazad z oznakami radości, gdyż zwiastowało mu to parę talarów prezentu, ale zarazem zdziwiony niesłychanie i tknięty litością, bo Warka zawsze jadąc tam, okazywał się nadzwyczaj uszczęśliwionym.

Przypadł do stołu garbus. — Słyszysz Warka — cud nad cuda! Cóż to się znowu stało? Mnie! mnie posyłają do Góry, mnie? Czyś ty tam co przeszkrobał?

Sykstus zarumienił się strasznie.

— Ja! — rzekł prawie gniewnie — ale dajże mi pokój. Mecenaz chce ci dać widocznie coś zarobić, o! i po wszystkimu.

— E! e! e! — kiwając głową, odparł

garbus — a złądby mu się na tę  
czułość dla mnie zebrało? Nie, w tem  
co jest.

Warka się rozśmiał gorzko.

— Przynajmniej ja nic nie wiem.

To mówiąc siadł i pilno, szybko  
pisać zaczął, okazując, że na dalsze  
pytanie nie odpowiada.

Sieboń poszedł się też zaraz spo-  
sobić do drogi, a biedny chłopak  
jak tylko go z oczów stracił, rzucił  
pióro i podparłszy się na łokciu, głę-  
boko zadumał.

Co się tam w jego sercu działo!

Niebezpieczeństwo jawne, odkryte,  
znane nie byłoby go strwożyło pe-  
wnie, ale ta ciemność, w których  
trzeba było omackiem się dogady-  
wać jakiejs groźby, przeraziły go.  
Musiał czekać na powrót Siebonia.

W Górze, gdzie Ewunia wcale się  
niczego złego nie spodziewała, wie-  
dziano, iż poszła furmanka z listem  
do Żółtkiewicza, wyglądało na pew-

no przybycia Sykstusa. Jakież było zdziwienie i przerażenie dziewczęcia, gdy garbus przybył z papierami. Przestraszyła się zrazu, czy Sykstus nie chory, wykomenderowała bardzo zręcznie pannę Julję, starszą pannę, do koniuszego, ażeby ten się o Warkę spytał, i przyniesiono jej odpowiedź że Sykstus zdrow, lecz że tego oto garbusa wyprawił Zółtkiewicz.

Ewuni przykro się zrobiło, nie domyśliła się wszakże jeszcze nic złego, tak dalece, że po obiedzie poszła za ojcem i po cichu go z naiwnością dziecięcą zapytała.

— Dla czego to pan mecenas Warki nie przysłał, mój tatku, a na jego miejscu tę poczwarkę?

Podczaszy, który przez cały obiad był milczący, popatrzył z uwagą na córkę, zaciął się jakoś i odparł ruszając ramionami.

— Alboż ja tam wiem, przysłał tego

czy innego, toć nam wszystko jedno, te musi być roztropniejszy do wytlómaczenia sprawy.

Ewunia się uraziła.

—Doprawdy to nie może być. Pan Sykstus pewnie przynajmniejtemu garbusowi nie ustąpi! — rzekła żywo.

— Ale, moje dziecko—rzekł czmychając jakoś niechętnie podczaszy, —co to ciebie ma obchodzić, który palestrant do mnie przyjeżdża z papierami? Toć przecie ani ten, ani tamten nie jest dla ciebie właściwem towarzystwem.

Ewa się mocno zarumieniła.

Podczaszy mówił dalej dosyć żywo, dając poznać że mu się niepodobał przedmiot rozmowy

— Już ja uważałem, moja Ewuniu, że mi się tu Warka i w wasze całego dworu łaski i poufałość zbyt cznie jakoś wcisnął. Bardzom wdzięczny Żółtkiewiczowi, iż go nie przysła.

Ewunia słuchając stała niema, łzy się jej kręciły w oczach, spoglądała na ojca, widocznie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Podczaszy spojrzał na nią i wzrok odwrócił pomieszany również.

— Z takimi młokosami trzeba zawsze być ostrożnym — mruknął — nie ja przeciwko niemu nie mam, ale mi tu już jak domowy nadto się wsrubował. Wszędzie go było pełno.

Ewunia wiązała i rozwiązywała na końcu chustki węzełek, popatrzyła na ojca, nie odpowiedziała ani słóweczka, zapłoniła się, zbladła, zakręciła i odeszła. Podczaszy przy oknie, gdzie się toczyła rozmowa, został jak wkuły, łatwo mu było po wrażeniu, rumieńcu, pomieszaniu córki poznać, iż list, który odebrał, nie był może potwarzą, że coś na nie-szczęście między młodemi istniało. Nie poszedł, nie odwrócił się za odbiegającą córką, powlókł się do swe-

go pokoju i zamknął. A kto by go był tam widział z załamaniem rękami chodzącego po pokoju, i wywracającego sprzęty i bijącego się o ścianę i jakby nieprzytomnego, z załamionymi oczyma, przeląkłby się boleści, jaką twarz jego wyrażała.

Po pierwszej chwili przestachu, przyszedł wszakże rozmyśl, co począć? Jedno zdawało mu się najskuteczniejszym, to wydanie Ewuni za mąż jaknajprędzej. Za kogo?

Troskliwe serce ojcowskie przebiegało cały szereg domyślnych pretendentów córki, gdy kozaczek zapukał do drzwi.

Lekkie to uderzenie jak grom raziło podczaszego, choć wcale na nerwy nie chorował. Zerwał się z krzesła, i pobiegł ku drzwiom.

— Proszę pana, gość przyjechał.

— Kto? kto?

— Pan chorąży.

Przypominają sobie zapewne czy-

telnicy owego chorążego Brdeńskiego, milczącą i sztywną postać, z którą Walek i Szczepiek spotkali się u karczemki.

— Proś go tu — rzekł podczaszy, nie mogąc sam wyjść na spotkanie gościa, i w tej chwili nie będąc mu rad bardzo.

Ledwie się chłopak oddalił, gdy żywo krok dał się słyszeć i pan chorąży pokazał się w progu.

Uderzyło odrazu podczaszego, iż człowiek ten zazwyczaj smutny i nachmurzony, wszedł z twarzą nadzwyczają rozjaśnioną, uśmiechniętą, promieniejącą, jakby inny.

Ktokolwiek widywał go dawniej, uderzonym być musiał zmianą oblicza, wyrazu, mczna powiedzieć całego człowieka. Podczaszego uderzyło i to, że miał na sobie całe ubranie czarne, nowe, z pięknego sukna i atłasu uszyte, a buty też czarne.

Ta żałoba sukni z wesołością twarzy dziwnie się sprzeczała.

Chorąży mógł nawzajem być uderzony zafrasowaniem podczaszego, ale tego po sobie poznać wcale nie dał. Wszedł i powitał go śmielej jakoś niż zwykle.

Gospodarz prosił siedzieć.

— Bodaj czy ja panu podczaszemu nie przeszkadzam w czem — ozwął się przybyły — bardzo by mi było przykro. Nie mogłem się wszakże powstrzymać, ażeby z czcigodnym panem a łaskawym na mnie dobrodziejem, smutkiem i weselem, jakie na mnie spadło, nie podzielić się.

Podczaszy popatrzał na żałobę.

— Straciłeś pan kogo z rodziny?  
— zapytał.

— Najdziwniejsza to w świecie historia — odezwał się chorąży — jam przecie rodziny tak jakby nie miał, oprócz dalekich ubogich krewnych.



Parę lat temu przez hollenderskiego rezydenta w Warszawie, przyszło zapytanie o familję Brdęskich, czy-by też nie istniała w Polsce. Żem wojskowo służył i znali mnie tam, więc mu wskazano. Na zapytanie, w liście posłałem mu genealogję moją, domyślając się poniekąd powodu tego dochodzenia. Jedną gałąź rodziny naszej razem z Lubienieckimi, Łaskimi, ba i wielu innymi, oskarżoną będąc o Arjanizm, z kraju się wyniosła i w Hollandji osiadła. Lecz eż przekonani byliśmy, iż wkrótce potem wygasła. Jakoż mogliśmy tak mniemać, gdyż z Brdęskich przezwali się von Berdenami, i śladu nie pozostało procedencji. Dopiero tam, nie wiem z jakiej pobudki, doszedłszy z papierów, iż ze szlachty polskiej ród wiedli, genealogję swą mieć zażądali. A że my naszą mieliśmy w wielkim porządku, okazało się, iż kupiec Abraham von Berden, pocho-

dził z naszej familji, co najmniejszej nie ulega wątpliwości.

— Osobliwa historia! — przerwał podczaszy.

— Tak osobliwa, żem ja — mówił chorąży — nie nawykły z lada czego czego sobie czynić rzeczy i nadziei wielkich, prawie był o niej zapomniat. Anim też wiedział, ilu tam -tych Berdenów było. Tylko mnie ów Abraham zapraszał bym go odwiedził, na co mu grzecznie odpisałem, iż nie omieszkam, jeśli okoliczności dozwolą.

— No i cóż? i cóż? — spytał zaciekawiony mimowoli podczaszy.

— Aliści szczególna łaska Boża, Abraham był bezdzietnym, i — oto zmarł właśnie, testamentem mi przekazując majątność, która, jak list adwokata i przyjaciela jego ocenia, wynosi do 50,000 czerwonych złotych, krom kosztownych ruchomości.

Podczaszy zerwał się i począł ści-

skąć serdecznie chorążego, a w duchu sobie rzekł — Pan Bóg mi go zesłał, to w sam raz mąż dla Ewuni, stateczny, ni stary, ni młody, z siebie niczego, no, i bogaty, jeśli tylko nie kłamie.

Uderzył podczaszy silnie w szerokie dłonie raz i drugi, na ten znak dobrze znany, chłopak się przystawił.

— Prosić ojca kapelana i niech z piwnicy przynoszą Degessego...—szepnął chłopcu. Degessym zwało się najprzedniejsze wino węgierskie stare, jakie było w piwnicy.

Wypadek ten rozpędził znacznie chmury z czoła biednemu ojcu, przypatrywał się chorążemu, usiłując w nim znaleźć wszelkie wymagane na zięcia przymioty. Brdęski, jakkolwiek dobrze nie pierwszej młodości, był przystojny, postawny i nie wyglądał staro. Figzjonomję miał szlachetną, nawet miłą, a teraz gdy ją

szczęście opromieniało, wydawała się w całym blasku.

Ściskano się znowu, gdy nadszedł ojciec Gula, kieliszki i butelka. Reformat nie miał odrazy do dobrego, wytrawnego wina, dotrzymywał kompanii dobrze i gawędę prowadził zręcznie. Ledwie się ukazał na progu, podczaszy począł mu już opowiadać niesłychany wypadek chorążego, którego on zrazu jakoś nawet objąć i wierzyć weń nie potrafił.

Winszował nieśmiało, ale spoglądał nieufnie.

—Z tysiąca nocy!—rzekł po chwili — jeszcze, jak żyję, nic podobnego nie słyszał, żeby się w Polsce trafiło. Czy tylko z przeproszeniem pana chorążego, jaki truteń nie zwodzi, żeby mu z kieszeni co wyciągnąć.

— A jakimżeby to sposobem mogło być — odparł Brdęski — kiedy

mi tysiąc czerwonych złotych na podróż przysłano?

Reformat umilkł, przypominając sobie po chwili, że był zakonnikiem i z wesołym humorem, zbliżając się do ramienia chorążego, szepnął mu po cichu.

— A niech no jegomość dobrze pamięta, iż w takich razach, Panu Bogu, kościołowi i ołtarzowi też się co należy, ponieważ zaś jam tu pierwszy go spotkał, polecam konwent nasz ubożuchny łasce i pamięci chorążego dobrodzieja.

Rozśmieli się wszyscy.

— Tem bardziej — dodał podczaszy — iż arjańskie one dukaty z grzechu ich pierworodnego kacerstwa, chrztem ofiary oczyścić potrzeba.

Pito więc za zdrowie chorążego, potem podczaszego i jego domu, potem konwentu księży reformatów i byliby może zapędziwszy się zdrowie

Arjan wypili, gdyby chłopak nie przyszedł oznajmić, że dano wieczerzę.

Podczaszy prosił na kaszę, uniewiniając się, że *insperate* gość przybył, i że postna wieczerza będzie pewnie nie ciekawa, choćby tam jaką na prędce przystawkę do niej przydano.

W jadalnym pokoju, podczaszego oczy naprzód szukały córki, której nie było jeszcze, pani Kropiwnicka mruzczała coś o bólu głowy, co ojca zafrasowało, ale po chwili Ewunia przyszała, blada, z surowym jakimś wyrazem twarzy i miejsce swe, prawie nie spojrzawszy na chorążego, zajęła.

Ten właśnie śmielej niż kiedy, znać był postanowił się zalecać, lecz na parę zapytań, krótką ścięty odpowiedzią, umilkł dyskretnie. Wszczęła się rozmowa o owej hollenderskiej historji, która wszystkich przy-

tomnych zdumieniem napełniała. Ewunia wszakże wysłuchiwała jej obojętnie, i poskarżywszy się na swój ból głowy, resztę czasu przy stole spędziła zadumana a smutna. Ojciec to widział dobrze, ale postanowił nie zważać.

Wieczera, mimo obawy gospodarza, nie zrobiła mu wstydu, był bowiem ogromny szczupak faszzerowany, kluseczki na rybem smaku i coś jeszcze, tak, że o głód dla gości obawiać się nie miał potrzeby. Ojciec Gula śmiał się też z próżnego strachu jegomości.

Gdy wieczerza przeciągnęła się nieco kilku kieliszkami wina, panna Ewa wstała po cichu od stołu i wyslizgnęła się z pokoju, Ichmość długo jeszcze rozprawiali o Hollandji, przyczem ojciec Gula popisał się z małą erudycją, mówiąc o sławnych gwoździakach hollenderskich, o dukatach, o hollenderskim serze i o śle-

dziach. W Polsce pono najwięcej z tych rzeczy znano Hollandję. Chorąży przytem oznajmił, iż choć na krótki czas, musi się tam wybrać, aby sprawę spadku niespodziewanego uregulować, ruchomość spieniężyć i z kapitałem powrócić.

Było już dosyć późno i gość prawdopodobnie miał się do wyjazdu zabierać, gdy ujmując za czapkę, z wielką attencją szepnął podczaszemu na ucho, że miałby z nim słów kilka do pomówienia na osobności.

Przeszli tedy do kancelarji, dokąd chłopak parę świec zaniósł. Tu, gdy drzwi się zamknęły, a oba siedli podniósł się chorąży z krzesła i począł z niejakiem wahaniem w te słowa:

— Czcigodny panie podczaszy dobrodzieju! Nigdybym nie miał pono śmiałości wypowiedziania się panu z tego, co dziś wyznać mu pragnę, gdyby szczególna fortuna, a raczej



Opatrzności łaska, nie postawiła mnie nagle, choć na cokolwiek bliższym szczeblu tego szczęścia, o którem dotąd nawet i marzyć nie śmiałem. Odważniejszym się być dziś czuję, acz nie bez trwogi jeszcze usta mi otworzyć przychodzi.

Tu skłonił się do kolan podczaszemu.

— Nie weźmiecie mi za złe, gdy teraz mając sobie zapewnioną szlachecką fortunę, a zdawna czując afekt stateczny ku czcigodnej pannie podczaszance dobrodziejce, ośmielę się u stóp ojcowskich jego, złożyć prośbę moją pokorną, abyś mi pozwolił starać się o pozyskanie serca jej i ręki, jako dozgonnej życia towarzyszki. A że o szczęście dla niej kształtem mojego żywota i szczęścia starać się będę, na to solenny mogę złożyć mu jurament.

Podczaszy słuchając, kilka razy, chciał się dźwignąć z krzesła na-

reszcie wstał i począł ścisnąć chorążego, powtarzając tylko *ex plenitudine cordis*, mój mości dobrodzieju, mój panie chorąży! Zaszczyt mi czynisz!

Dopiero gdy się wyściskali i wycałowali, dodał wypuszczony:

— Masz moją ojcowską autoryzację chętną i życzliwą, lecz, nie nąglij, zbliż się powoli do bojaźliwego dziewczęcia, a jeśli jego afekt pozyskasz, z duszy i serca pobłogosławię. Radbym aby sobie statecznego, jak wy, męża obrała, któremu bym jej przyszłość mógł zwierzyć bezpiecznie i do grobu zejść spokojnie.

Tak rozpoczęta rozmowa zeszła na coraz poufalsze zwierzenia, przy czem podczaszy o kieliszki zawołał, boć zapić musiano, i gdy chorąży odjeżdżał, rozstali się w ganku uściskami rozczulającemi.

\*

\*

\*

Nazajutrz rano Sieboń miał być odprawiony do miasteczka, i już się na furkę pod stajnią wdrapał, gdy go pod dwór piękna panna Julja przywołała. Garbus, któremu się nie trafiało by go tak piękne oczy wabiły i tak miły głosik się domagał, o mało nie spadł z furki, chcąc stawić się najrychlej na rozkazy. Piękna panna trzymała w ręku książeczkę podartą i powiazaną sznurkami, ale znać dla bezpieczeństwa, aby się nie roztrząsnęła przez drogę, przypieczętowaną.

— Przepraszam pana — rzekła do Siebonia — wszak pan podobno w jednym domu mieszka z panem Sykstusem Warką.

— A tak, proszę pani, a tak.

— Uczyń że mi tę grzeczność, to taki roztargniony, niezdolny chłopak, że nigdy nie pamięta co przyrzecze. Natrzyj mu pan uszy dobrze! Obiecał mi moją Heroinę Chrześci-

jańską kazać oprawić, jeszcze mu rozpowiedziała gdzie, co, jak, kędy biały papier... Miał ją z sobą zabrać, ale taki to pędziwiatr, dałam mu na to nawet pieniądze, pojechał i nie wziął.

Sieboń, przyjmując książkę z rąk panny, ruszył nie ramionami, ale garbem.

— O! już niech panienka będzie pewna, że ja mu oddać nie zapomnę.

— Ale proszę pana nie zgub i nie roztrząś, bo tam są zakładki i obrazy.

— Zaraz chowam, ot tu — rzekł Sieboń, pakując książkę za oponę — i dziś mu ją wręcę.

— A dobrze mu pan nagadaj, że taki niegrzeczny. Jak to można przyrzec i niedotrzymać.

— Wszak ci to zbrodnia, tak pięknej osobie uchybić! — ozwał się garbus, w uniesieniu zapatrując się w oczy Julki, która go całkiem wzro-

kiem prześwidrowywała, jak dzieci chrząszcze nadziewają na szpilkę. Musiała dziewczyna mieć w tem jakieś rachuby, bo sama marzła i jego trzymała niepotrzebnie na mrozie, i śniała się mu zębami białemi, aż garbusowi mdło się robić zaczynało.

— Jakże się pan nazywa? — spytała.

— Sieboń! do usług panienki.

— A! to dobrze! pan tu będziesz posyłany od Żółtkiewicza, a my mamy tysiące interesów do miasteczka, więc po dobrej znajomości poproszę. Ale zajdź-że pan, gdy tu będziesz, do garderowy na kawę. Wszak ci to nie grzech. Pewna jestem, że pan nam lepiej usłужysz, jak ten trzpiot Warka, który nigdy nie dotrzymał słowa.

— O! pani! — zawołał Sieboń — wolałbym życie stracić.

Panna Julia zasłoniła sobie czegoś usta, poczęła się śmiać, wycią-

gnęła mu białą rączkę, którą on pocałował i — uciekła. Garbus jeszcze raz zapewniwszy się, że Heroinę ma w zanadrzu, uszczęśliwiony powrócił do wozu.

--Ha, no! — rzekł w duchu, — nie dziwuję się Warce, że głowę postradał przy tak pięknych pannach. Jam tu ich trzy widział, a niewiedzieć którą wybierać.

Heroina tedy pojechała do miasteczka, pielęgnowana starannie przez drogę. Było już późno w noc, gdy Sieboń się dostał do domu, a tego dnia do Żółtkiewicza już iść było nie można, przespał się więc w gospodzie, i jak dzień, pośpieszył na górę. Tu zastał Sykstusa nad papierami już i razem przy czarce mleka. Sieboń był w najróżowszym humorze. Ledwie zrzućwszy opończę siadł, i uściskawszy towarzysza, rzecze:

— Widzisz, kochanku, jaki to z ciebie trzpiot i pędziwiatr. W Gó-

rze ci nie mogą przebaczyć tego; panna Julja, ta piękna czarnooka panna Julja sama wybiegła za mną, nakazując mi, abym ci porządną za zapomnienie dał burę. Jakże to można przyrzekłszy najuroczyściej zabrać książkę do oprawy, potem o niej zapomnieć i porzucić.

To mówiąc, dobył z opończy książkę starannie usznurowaną. Gdyby był patrzył na Sykstusa, byłby się zapewne zdziwił wyrazowi twarzy, który nie skruchę, ale jakby zdumienie i radość chował. Warka pochwycił żywo książkę i począł ją na wszystkie strony oglądać.

— A! prawda! — zawołał — zupełnie zapomniałem!

— To też się panna Julja srodze gniewała — dodał Sieboń.

— Winienem — mruczał Sykstus, w rękę ściskając książkę—winienem.

— I to pewno nie pierwszy raz—podał garbus, — bo wszystkie pan-

ny się teraz cieszą, że ze mnie będą miały lepszego i pilniejszego posłańca.

Już się miał puścić w opisy swej bytności w Górze uszczęśliwiony garbusek, gdy Wawrowa zawęłała przeze drzwi.

— Ot to pięknie! Jegomość wstał, a Sieboń się wygrzewa przy piecu i nie idzie mu odraportować. Jeszcze go prosić trzeba i stare nogi po schodach za nim dźwigać.

To mówiąc stuknęła drzwiami, a garbus zerwał się by zbiedz na dół.

Zaledwie za drzwi wybiegł, gdy Sykstus, jakby na to tylko czekał, pochwycił Heroinę i sznurki porozrywał.

Stara książka pobożna w istocie, wiele ratunku introligatora potrzebowała, każda stronica jej bowiem samopas chodziła, a niektóre z nich paluszkami pobożnemi na rożkach były wytarte, i pobrukane niebez-



piecznie. Sykstus nie przypatrywał się tak bardzo szanownej księdze, ale zdawał się w niej szukać czegoś, miał przeczucie że w niej znaleźć coś musi.

Jakoż nie omyliła go nadzieja, obok mnóstwa zakładek białych, na nabożeństwie do Opatrzności zasunięty był kawałek papieru, dosyć nieforemnie, ale dla oka młodzieńca jakby złotemi literami napisany. Krzywo, z pośpiechem, bladym aramentem, stały na nim te słowa:

„Kto ufa, zbawion będzie, kto wytrwa, ten będzie szczęśliwy.

„A gdy nieprzyjaciele otoczą i zdrajce sieci zastawią, nie trzeba tracić serca. Bo kto miłuje, ten dla Racheli cierpi i czeka, i służy, i choćby lata przeszły, nie wątpi, iż Opatrzność dwa serca sobie życzliwe połączy“.

Niżej dosyć niewyraźnie i jeszcze pośpieszniej dopisano: „Ewa nie zdradzi.“

Sykstus co najspieszniej kartę drogą chował za żupan, który zaraz zapiał na wszystkie guziki, a książkę przerzuciwszy już nadaremnie, bo więcej w niej nic nie było, związał i położył na stoliku. Gdy Sieboń powrócił, zastał go nad papierami zajętego przepisywaniem jak najpilniejszym, chociaż przypatrzwszy się pilniej, byłby dostrzegł, iż na podłożonym kawałku papieru kreślił tylko bujne litery E... w różnych powtarzane kierunkach.

\*

\*

\*

W Górze, znowu w parę dni potem, pan podczaszy do kancelarji po obiedzie córkę prosić kazał.

Nie było we zwyczaju, więc tknęło coś piękną Ewunię, że rozmowa zapewne będzie ważna, choć odgadnąć trudno o czym. Podczaszy siedział w swem krześle, pochmurny i jakby zakłopotany, wstał, gdy córkę

zobaczył, uściskał ją i w czoło pocałował. Chciał, żeby siadła, ale dziewczę odmówiło.

— Bo my mamy z sobą dziś do mówienia dosyć — rzekł ojciec — a chcę żebyś mnie z uwagą posłuchała.

Tu westchnął i zamyślił się.

— Moje dziecko — odezwał się po chwili — już ci też czas dla ciebie o przyszłości pomyśleć. Jam stary, wiek mnie coraz więcej przyniata, boję się dla ciebie większego niż teraz sieroctwa, albo pozostania na łasce krewnych, od której niech Chrystus Pan broni. Co tu mówić długo, dla mojego spokoju i dla twojego dobra, trzeba ci zamaż iść.

Ewunia rączkami strzepnęła.

— Trzep nie trzep, ja to wiem — dodał podczaszy — że wolnemu ptaszkowi na świecie lepiej i że się dobrowolnie do klatki nie chce. Lecz po za klatką latają jastrzębie, klatka

niewolą i razem schronieniem niebezpieczeństwa. Życie ma obowiązki surowe, trzeba się z niemi rachować, to darmo.

— Nie mam najmniejszej ochoty iść zamaż — odezwała się Ewa chłodno.

— Tu nie o ochotę idzie, mościa panno, ale o obowiązek — dodał ojciec. — Przecież ja ci gwałtu nie zadam i wstrętliwego człowieka nie narzucę, ale też gdy wybiorę dla mojego dziecka, co mi się zda dobrem, gdy mój instynkt ojcowski przemówi, będę posłuszeństwa wymagał.

Ewunia była pieszczona, ale znała to dobrze, iż ojcu, gdy sobie co postanowił, wprost się przeciwieć nie było można.

— Jak mi ojciec każesz, posłucham pewnie — odezwała się — ależ, na miły Bóg, przecież człowieka, z którym się wiek ma żyć, poznać po-

trzeba dobrze, i — szepnęła figlarnie trochę — beczkę soli z nim zjeść.

— Ale ja tę sól po części sam za waćpannę będę jadł, a ja słono jadam — dodał podczaszy.

— Dobrze, dobrze, będziemy ją jedli — smutnie uśmiechając się mówiła Ewunia, — a potem, zobaczymy.

Podczaszy nie wiedział już co mówić dalej, dziewczyna z ręcznie usta mu zamknęła. Potarł głowę, potargał wąsy, pasa poprawił, ze stolika pył zdmuchnął, wstał i zaczął się przechadzać.

— Acannie na konkurentach nie zbywa — odezwał się — czyby już który miał preferencję.

— O! dotąd żaden z konkurentów — szybko odparła Ewunia — żaden.

— Cóżbyś powiedziała na przykład na — na (tu się nieco zająknął) na pana chorążego Brdeńskiego, he?

Ewunia strzeliła nań okiem bacz-

nie, rozśmiała się, wzięła starego pod rękę i poczęła po cichu:

— Tatku, co mnie niegdyś kochałeś, na cienie matki cię zaklinam, powiedz mi tak szczerą prawdę, czy, gdyby na niego nie spadło dziedzictwo hollenderskie bajeczne, byłbyś kiedy o nim dla twej córki pomyślał?

Podczaszy się mocno zafrasował.

— O! o! o! patrzajcie no ją! tego filuta! takie mi jurystowskie zadawać pytania?

— Tatku, on ma lat czterdzieści kilka, a ja dwadzieścia ledwie?

— Co! to co? albo to stary hetman Chodkiewicz nie ożenił się z młodzusiёнką.

— El co mi tam hetman! — przerwała Ewa śmiejąc się — od chorążego do hetmana daleko.

Podczaszy nie chciał nalegać i zmilczał.

— Zobaczymy! zobaczymy — prze-

bąknął siadając — toć nie tak jeszcze pilno, poznasz go lepiej, człek stateczny, do rzeczy i pięćdziesiąt tysięcy czystych, to nie bagatela.

Ewunia ruszyła ramionami.

— Więc odkładamy chorążego na później, a dalej, rozgadajmyż-no się. Pan Walenty Brochwicz, sędzic?

Ewa usta pogardliwie podniosła i głową potrząsała.

— Nie podoba mi się, nadto ładny chłopiec.

Ojciec począł się śmiać.

— Nadto ładny?

— Tak, mój ojczu, i dobrze wie o tem, i we zwierciadłach się sobie przypatruje i zdaje mu się, że nie można na niego patrzeć, żeby się nie kochać. Ja takiego gagacika nie chcę, niech go za szkło oprawia.

— To po części prawda — mruknął podczaszy — dziewczyna marozum, dalipan, ale skąd się jej raptem

wział? — Dobrze, więc pan Szczepan Janosza Zboiński.

— Czy się on ojcu podoba?—spytała Ewa.

— No, tak, dosyć.

— Ja tylko wiem, że się go wszyscy boją, i ja także.

— Prawda, że ma głowę jurysty, choć nim nie jest — dodał ojciec — ale skąd asindźka o tem tak dobrze wiesz?

— A instynkt kobiety.

Podczaszy nic nie mówił, począł palcami bębnić po stoliku.

— O rejencie — przebaknął — już i mówić niema co?

— Ale on siwy! siwy! — zawołała ręce łamiąc Ewunia — siwy!

— No, rumiany, zdrów, miły i dowcipny.

— Stary.

— To też go nie raję. Ale cóż mówisz na Machcewicza, który przed



tobą pada jak przed cudownym obrazem?

— Smieszny, mój tatku. Ja tam nie wiem, jak na świecie się ludzie kochają, bom tego nie próbowała; ale kiedy kto paradę czyni ze swej miłości, ja w nią nie wierzę. Muie się zdaje, że prawdziwa miłość powinna być cicha.

Podczaszy znowu głową potrząsać zaczął i przeżegnał się.

— Ewuniu! — zawołał — ja się ciebie boję! skądże ci u licha ten rozum, i te sofizmata, i takie teorie. Czy cię ich Kropiwnicka uczy?

Córka poczęła się śmiać i całować starego, co go udobruchało.

— No, to już o Hercińskim chyba wspominać nie ma co, bo człek niepozorny.

— Ja do niego właśnie nie mam nic — odezwiała się Ewa — ani się podobał, ani mnie odstręcza. Zda się poważny, spokojny człek stateczny.

— Któż tam was zrozumie! kto zrozumie! — począł pod czaszy, ruszając ramionami. — Dajmy już pokój temu, a ja ci chorążego rekomenduję i radzę go poznać bliżej.

— Ależ tatko jeszcze o jednym zapomniał — ozwała się Ewunia.

— Naprzykład?

— A no, przecież pan Dydak Przyrowa także wart przynajmniej tyle co Machcewicz — poczęła Ewa coraz weselej. — Głuptaszek boży to prawda, nie ładny, słowa nie ma, ale chłopiec dobroduszny, no, i gdyby go sobie panna Marta nie zamówiła, możebym wybrała z biedy, przynajmniej by uśmiechał się, szepłenił komplementa, a baćbym się go nie potrzebowała.

Ojciec zmilczał, pierwszy to raz w życiu, córkę wyzwawszy na słowo, widział ją tak rezolutną, śmiałą i surowo sądzącą o ludziach. Przestępnął się nieco, zadumał. Ewunia na-

tomiaśt zdawała ośmieloną i pewniejszą siebie, niż kiedykolwiek. Pocałowała milczącego w czoło, zakręciła się i odeszła.

— Czas ją wydać zamaż!—rzekł sobie w duchu — gotowa na kiel wziąć, gdy ja postarzeję, a potem zrobi zemną co zechce i może mi figla spłatać. A zdawało się, takie to potulne i dziecinne, Bogu ducha winne.

Pokręciwszy głową, podczaszy kazał nazajutrz konie nagotować do miasteczka.

\*

\*

\*

Podczaszy, obyczajem wszystkich obywateli, mających dobra w sąsiedztwie, miał w mieście własną gospodę, u starozakonnego, który zarazem był pośrednikiem do sprzedaży, i faktorem w wielu wypadkach szczególnie zręczności wymagających. Tu tedy tryumfalnie zajechawszy, wy-

słał służącego zapytać, czy, i kiedy mecenasa Żółtkiewicza w domu zastanie. Zwykle w takich razach, mecenas sam śpieszył kochanego podczaszego odwiedzić. Tak się i teraz stało.

Służący trafił nań w kancelarji, mecenas kontusz tylko pocześniej-szy wdział, łaskę wziął i poszedł natychmiast.

Zastał właśnie starego przy operacji niebezpiecznej, z ręcznikiem pod brodą, z twarzą i głową namydloną, a żydka cyruliczka uwijającego się z brzytwą i podgałającego czuprynę.

Dopóki trwała ta czynność, rozmowa bardzo ożywioną być nie mogła, dopiero gdy się stary obmył i biały kitel przywdział, siedli za stół dla gawędy o procesie, względem Szumlańszczyzny. Szumlańszczyznę zwało się błoto i zarośle, o które podczaszy od lat dziesięciu toczył

sprawę zaciętą z sąsiadem, z panem Borejkwiczem. Sporny ten kawał gruntu na nic się nikomu nie zdał, obie wszakże strony, upornie stały przy zdobyciu trzęsawicy dla hono-ru tylko. Komisja już pono piąta miała zjechać z wiosną na miejsce, i starą wodociecz, stanowiącą granicę, oznaczyć.

— Mój mecenasie, kiedy już tu jestem, pogadajmyż jeszcze o czem innem, co mi też na sercu leży. Jest u was mój daleki krewny, ten Syk-stus Warka Warczyński, jak się on tam prowadzi?

Mecenas popatrzał w oczy pod-czaszemu.

— Chwalić nie lubię — rzekł — ale o nim też złego nic powiedzieć nie mogę, chłopiec pilny, zdolny i spokojny, dobry chłopak.

— Jest to daleki mój krewny — ciągnął dalej podczaszy — zawsze to tam krew swoja. Chciałbym co dla

niego uczynić, a nie życzyłbym sobie, aby o tem wiedział. Czy nie dobrze by dlań było, wyprawić go do Lublina lub do Warszawy... dopomógłszy mu, aby się na świecie przetarł? jak sądzicie?

— Zapewne, żeby mu się to przydało — odpowiedział mecenas — chociaż on tu czasu nie marnuje. Posłać go zaś bez grosza nie można, a nim sobie co zarobić potrafi, zje wiele.

— Naprzykład? — spytał stary.

— No, i sto dukatów nadto by nie było — odparł mecenas.

Podczaszy podjął połę, dobył sakwę zieloną, położył ją na stole, zanurzył w niej rękę i wysunął rulonik opieczętowany. Kładąc go na stole przed Żółtkiewiczem i podsuwając mu, rzekł z cicha.

— Niechże będzie sto, ale tak, mój mecenasie, aby to nie był dar

odemnie, tylko pożyczka od wasze-  
ci. Nie chcę chłopca psuć.

Mecenas patrzył, niedowierzając, na  
rulonik, i znać było w nim zdziwie-  
nie, chciwość zarazem, pomieszanie  
pewne. Nie możemy zaręczyć, czy  
mu ta zła myśl nie przyszła, by o-  
brączkowe cząte podczaszego, na obrze-  
zańce zamienić i kulfony... aby chłop-  
ca nie psuć.

— Bardzo to heroiczna wspaniało-  
myślnego serca pańskiego ofiara —  
odezwał się łykając ślinę — mam  
nadzieję, że pójdzie na korzyść. Mnie  
tylko żal będzie wcale dogodnego  
subjektum...

— Oh! to ci się inny nastreczy i  
wyrobi się — pośpiesznie począł pod-  
czaszy — a jego wyprawcie, wy-  
prawcie. Dałem słowo jego familji,  
że się nim zaopiekuję — bąknął i  
plątał się stary — ale proszę, by o  
tem nie wiedział, że pieniądze ode-  
mnie, bardzo proszę.

Żółtkiewicz rulonik drżącą ręką wziął, skłonił się i do kieszeni schował. Dostał jeszcze mniejszy drugi, z powodu kosztów na proces o Szumlańszczyznę, nagadali się do wieczora, potem podczaszy poszedł z nim na kolacyjkę do księdza gwardjana, wrócił dobrego się miodu napiwszy, a nazajutrz do dnia wyruszył do domu.

Upłynęło dni kilka potem bez żadnej zmiany w dworku Żółtkiewicza, gdy jednego wieczora, właśnie po ukończeniu pracy w kancelarji, Sykstus wyszedłszy na górę, chodził zadumany z załamanemi rękami po izbie, aż tu otwarły się drzwi nagle impetycznie i stara Wawrowa ukazała się w nich, mierząc oczyma trochę przestraszonego chłopca.

— Pan Sykstus, do jegomości! do jegomości, słyszy pan! Jegomość czeka! Coś zamysłony delikacik! he! za-



wczasu, zawczasu, pewnie o panienkach, no! no!

Pogroziła na nosie, trzasnęła drzwiami, i wyszła, a Warka też prawie za nią powlókł się, pewien że mu jakąś robotę wyznaczą, nie bardzo śpiesząc na dół.

Żółtkiewicz chodził po izbie, chustkę znowu długo puszczoną wlokąc za sobą, odwrócił się, gdy wszedł Sykstus, i nie rzekłszy słowa, dumiał. Przespacerował tak razy kilka po pokoju, stanął, odchrząknął, chustkę zgarnął, zdawał się zbierać na wypowiedzenie czegoś trudnego i niezwyčajnego.

— Skończono przepisywać replikę?

— Gotowa, panie mecenasie.

— Hm! dobrze, a memorjał dla Piszczewskich?

— Przepisany, panie mecenasie.

— Akt graniczny?

— Jeszcze wczoraj położyłem go na stole. '

Mecenas począł chodzić.

— Nie mogę powiedzieć — odezwał się po chwili — że jestem z waćpana nie kcontent, tak, z chęcią to wyznaję, bo co słuszna, to słuszna. Nie zwykłem psuć młodzieży pochwałami, ale waćpanu muszę oddać sprawiedliwość.

Sykstus uklonił się nisko.

— Pochodzisz asindziej z dobrego, niegdyś zamożnego rodu — rzekł mecenas — Pan Bóg darów nie poskąpił, pilność przykładowa, w kancelarji nabrałeś już radymentów nauki, czas by było na szerszy świat wyjrzeć, praktyki nabrać, ludzi zobaczyć i myśleć o przyszłości, której tu będzie znaleźć trudno. Uwzględniając jego pracę w mojej kancelarji i uczciwe prowadzenie się pańskie, mam zamiar asindziejowi dopomódz do dalszej krescytywy.

Sykstus podszedł i w rękę go pocałował, rozczulony tą niezwykłą dobrocią.

Żółtkiewicz go przycisnął do piersi.

— No, no — ozwał się — to tam nie ma za co dziękować, gdym aplikował u sławnego Maszutyńskiego w Lublinie, i on mi też w końcu dopomógł. Świeć Panie nad duszą jego, winienem mu pierwszy zawiązek mojej fortunki. Otóż, splacając ten dług, który asindziej też komuś potem oddasz, chcę waćpanu pomódz na podróż i życie w Lublinie. Bo Lublin, mospanie, to dla prawnika Ateny i przy trybunale *praxis* ogromna.

Sykstus stał niemy i jak przybity, prawnik mówił dalej.

— Daję waćpanu list polecający do Dudkiewicza, mecenasa i — tu się zaciął — sto czerwonych złotych na podróż i życie.

Sykstus drżał jakoś cały, to co dla innego byłoby nieopisanem szczęściem, zdawało się w nim obudzać tylko przestrasz jakis i pomieszanie. Milczał jak skamieniały długo, nareszcie raz jeszcze poszedł ścisnąć kolana dobroczyńcy i rękę jego ucałować, a po chwili się odezwał.

— Panie mecenasie, prawdziwie, braknie mi słów na wyrażenie mojej wdzięczności. Jest ona tak wielką, iż na całego życia zapełnienie nie starczy. O! panie! wspaniałomyślność to, jakiej się spodziewać nie mogłem, na którą w istocie nie zasłużyłem. Lecz, lecz — dodał jękając się — lecz, panie mecenasie dobrodzieju, ja, ja, jabym jeszcze nie życzył sobie opuszczać pana i jego kancelarji, ja się i tu wiele nauczyć mogę.. ja, ja...

Żółtkiewicz stał, z wielką powagą i uwagą, patrząc na niego, ale nie bez pewnej surowości.

— Bardzo to chwalebne — rzekł, — że zarozumiałości nie masz, lecz ja też sądzić mogę, i, spodziewam się lepiej niż wy, co asindziejowi pożyteczniejszem być może. A jeśli ja mu życzę, to na pewnym fundamencie i z dobrego serca.

— Ja też całem życiem panu mecenasowi wdzięczen będę, zachowam do śmierci pamięć jego dobrodziejstwa, lecz...

— Lecz co? *Ouo? quando? quomodo?* co? co? — odparł żywo Żółtkiewicz. — Jaja kury uczyć będą? he?

— Prawdziwie, panie mecenasie...

— Prawdziwie, mości Sykstusie — odparł prawie obrażony stary — ja tego nie rozumiem, żebyś asindziej starszego nie słuchał.

Sykstus chciał coś jeszcze odpowiedzieć, ale mu mecenas usta zamknął.

— Ja z asindziejem rozprawiać o

tem nie będę, *aut, aut*, jak sobie chcesz, namysł się do jutra. Drugi by ze szczęścia podskoczył.

— Panie mecenasie, dobrodzieju...

— Masz asindziej namysłu do jutra, do wieczora, proszę mi przyjść z odpowiedzią stanowczą.. zobaczymy.

Odwrócił się szybko, Warka pokłonił się i wyszedł jak pijany, lecąc się zamknąć w izdebce swej na górze.

Z jednej strony tak świetnie nadzieje, takie dobrodziejstwo niespodziewane nigdy, które o przyszłości stanowić mogło, z drugiej, jakże opuścić te strony i to bez pozwolenia Ewuni, któraby za zdradę to poczynić to mogła. Sykstus ręce łamał, co począć? Dwadzieścia cztery godziny? A potem? co mecenas zechce postanowić?

— Bądź co bądź — rzekł w duchu — bez niej ja nic począć nie mogę.

Zapalił świecę i korzystając z tego, że Siebonia nie było, siadł co prędzej pisać list. Nakreślił go naprędce, gorąco, nie dobrze nawet wyważwszy słowa, włożył w książkę panny Julji, opieczętował ją, i obliczywszy się ze szczupłą kasą swoją, wybiegł co prędzej na miasteczko. We drzwiach na dole spotkała go pani Wawrowa.

— Oh! oh! już, leci pędziwiatr! — zawołała — mało mnie nie rozbił, a gdzie oczy? Co tam w tej głowie? fumi! faneberje. Na złamanie karku, żeby choć dobry wieczór dał, utrapienie.

— Przepraszam — rzekł Sykstus kłaniając się.

— Gdzieś nogi i ręce połamie! — n.ruknęła patrząc za wybiegającym ochmistrzyni — ale to młodość, tak zawsze, fiu, fiu, tere fere, póki karku nie nakreści.

Sykstus już tego nie słyszał, biegł

bowiem szukać posłańca, wymarzywszy sobie, iż do jutrzejszego wieczora może mu odpowiedź przewieźć, gdyby na całą noc ruszył. Szło tylko o to, coby mógł taki poseł kosztować. Na wszelki wypadek list był z książką adresowany do panny Julji, której był pewnym. W miasteczku posłańców nie było wielu, najslawniejszy z nich Icyk zwany Icykiem z biedką, który miał tęgą szkapę i do ważniejszych posyłek był zażywany, mieszkał w rynku, szczęściem znalazł go Sykstus w domu. Znał go dobrze, bo wielekroć od mecenasa papiery ważne woził. Icyk też znał i lubił dobrego chłopaka. Na zawołanie zjawił się.

— Kochany Icyk — szepnął Sykstus — trzeba na całą noc jechać do Góry, pakiet ten do rąk oddać.

— Hm! podczaszemu? — pochwycił domyslny poseł.



— A! Boże uchronaj! — rzekł zarumieniony Sykstus — pannie Julji. Żyd okiem mrugnął.

— *Herste?* to już jegomość w tego interesa się bawi? a jwaj!

— To nie mój interes, jestem proszony — podchwycił Sykstus.

Icyk się rozśmiał.

— Ne! ne! niechaj tak, panny Julji z czarnemi oczkami, przy garderobie, *se git*, znam, i oddać tak, żeby nikt nie widzieli. *Se git!* a na kiedy odpowiedź?

— Koniecznie jutro po południu, przed wieczorem, bo będę zgubiony — zawołał Sykstus.

— A kiedy interes cudzy?

— Ale mnie powierzony.

— *Se git*, panna ma proces w sądzie, ja to rozumiem — rozśmiał się Icyk — a pan wie co to ta sztuka będzie kosztować?

— Słuchaj — zawołał Sykstus — jam ubogi.

—A kiedy to nie pański interes?—  
przerwał żydek, śmiał się.

Biedny Warka był w wielkim kłopotcie.

— No, co chcesz! co chcesz?—zapytał.

— Słuchaj jegomość—rzekł Icyk—ja jestem biedny żydek, co sobie kości trzęsę, zarabiając na życie dla żony i dzieci, ja jestem biedny, ale ja nie jestem zły człowiek, co z ludzi skórę drze, a ja jegomości lubię, bo wy uczciwy człowiek, i ja to rozumiem, co do panny Julji. Jabym mógł powiedzieć cztery talary, ja bym mógł powiedzieć pięć, ale ja nie powiem tylko trzy.

Sykstus pobladł, nie miał ich pono więcej w kieszeni.

Żydek to spostrzegł.

— Słuchaj jegomość, ja muszę żyć z żoną i dziećmi, a u mnie dzieci dużo, no, ale, jak sobie chce, dla was, półtrzecia.

— Już się nie targuję — szepnął Sykstus z westchnieniem — nie targuję się, jedź, jedź, ale odpowiedź przed wieczorem.

— Jeśli mnie tam nie zatrzymają.

— Nie. — I książkę w ręce..

— *Se git*, panny Julji i tak, żeby nikt nie widział. Ja tam pójde owsa kupić. — Rozśmiał się, poklepał po ramieniu Sykstusa. — Idź jegomość do domu, ja zaraz jadę, koń obroku dojada.

Wrócił tedy Sykstus na górkę, dokąd nadszedł Sieboń ciekawy rozmowy z mecenasem, nic jednak dopytać nie mógł. Wieczerzy Warka nie jadł, rozmowę zbył półsłowami, i całą noc nie spał.

Nazajnt rz rano, gdy na śniadanie była pora, weszła Wawrowa.

— Ej! ej! — rzekła — coś mi delikacik choruje czy warjuje? A co to waspan całą noc nie spał i drypał a

drypał po izbie. Ej! już niespokojne sumienie! będzie źle. Niech się delikacik zreflektuje, pomodli i o fatalaszkach nie myśli, a do roboty, do roboty!

Sykstus w istocie do roboty zaraz zszedł, siadł za stół i zatopił się w niej, ale ani wiedział co przepisywał, i w arkuszu jednym tyle zrobił omyłek, że go podrzeć musiał. Im bliżej wieczora, tem niepokój rośł, związał sobie chustką głowę, prosił Siebonia, aby go wyręczył w pilniejszym i powiedział, że pójdzie się przejść, bo mu czaszka z bólu pęka. Garbus popatrzał nań, nic nie rzekł, Sykstus wybiegł do miasteczka, zajrzał do Ickowego domu. Nie było go jeszcze. Chodził po rynku, po ulicach, wyszedł aż na gościniec aby go prędzej spotkać, dopiero ku wieczorowi ukazała się biedka, koń zziąjany i Icyk z miną tryumfującą. Dobył zaraz z za sukni książkę i od-

dał ją, nic nie mówiąc. Sykstus zapłacił z naddatkiem, a że żydkowi do domu pilno było na szabas, nie rozmawiali długo. Zaledwie go z oczów straciwszy, Warka rozerwał pieczętki, począł szukać w książce i znalazł kartkę, na której ołówkiem na prędce nakreślone stało:

„Ewa nie zdradzi, ale odjeżdżać nie można. Zostać koniecznie i ufać Ewie, a milczeć.“

Rozkaz królowej był wyraźny, Sykstus przygotowany na wszystko, z lżejszą głową i sumieniem, powrócił do dworku, poczekał w kancelarji, a gdy godzina wybiła, stawiał się w pokoju mecenasa.

Zółtkiewicz jakby nań czekał, stał z rękami w tył założonemi na progu sypialni; podszedł kilka kroków.

— Musiałeś się asindziej, dobrze namyśleć i wymiarkować co ja dla niego czynię. Kiedyż do Lublina?

— Ja, ja — rzekł Sykstus — ja

się proszę usilnie i błagam pana mecenasa, aby mnie przy sobie zostawić.

— Cóż to jest? co to jest? — podchwycił oburzony Żółtkiewicz. — A to jest niesłychana rzecz? a to wyraźna fiksacja. Ja waćpanu świadczę dobrodziejstwo, chcąc go w świat wprowadzić, a asindziej mi tu gnić chcesz!

— Proszę pana mecenasa.

— Ale ja powiadam, że świeczka chyba w głowie masz! Co to jest? — mówił Żółtkiewicz. — Asindziej mnie znasz, ja słowami szafować i maruować ich nie lubię, u mnie *dictum, factum*, pytam ostatni raz, odrzucasz moją dobrą wolę? Jedziesz czy nie?

— Nie mogę, panie mecenasie.

— Dlaczego?

— Nie czuję się na siłach!

— Toś aspan warjat, z przeproszeniem, albo tchórz, albo ja już sam

nie wiem co? Ja aspanu powiadam, jedź.

— Nie mogę, panie mecenasie.

Żółtkiewicz widocznie zniecierpliwiony, gniewny, przeszedł się po izbie, umitygował i odwracając do Sykstusa, rzekł:

— Bardzo dobrze. Zatem asindziej u mnie w kancelarji miejsca nie masz, i jutro rano się sobie z górki wybieraj. Grosza złamanego nie dam. Bądź asindziej zdrów.

Na to *dictum acerbum*, którego się nie spodziewał, Sykstus stanął jak wryty, mimowolnie w głowie mu się zawróciło, i łzy w oczach poczuł.

— Pozwoli pan mecenas przynajmniej...

— Nic nie pozwolę — przerwał stary.

— Złożyć sobie z duszy i serca dzięki za opiekę, za to co przy nim skorzystałem, za jego dobroć dla mnie, za wszystkie łaski...

Zbliżyć się chciał do ręki starego, który żywo się cofnął.

— Ale asindziej kryjesz przedemną, opiekunem swoim — rzekł — jakąś okoliczność, która go do tej głupiej rezolucji skłania. Waćpan nie masz wiary we mnie. Toć rzecz nienaturalna, aby kto odrzucał taką pomoc i drogę do krescytywy, nie mając słuszných jakichś przyczyn. Cóż to? przesadzona delikatność? jaż ci to pożyczam.

Sykstus milczał pomieszany.

— Zatem róbże sobie co chcesz, dysponuj sobą, niech Bóg szczęści, ja czasu nie mam.

I szybko odszedł do sypialni, Sykstus cofnął się zwolna i powlókł na górkę. W chwilkę potem Wawrowa przysła i zawołała:

— Garbus, do jegomości, a żywo!

Sieboń poszedł i wrócił w kwadrans zmieszany do Sykstusa.

— Co to się stało? Żółtkiewicz zwa-



rzony jak śmietanka, zły, listy jakieś pisze. Kazał mi posłańca szukać do Góry.

— Do Góry! — powtórzył Warka.

— A w dodatku, powiedział mi, żebym dopilnował aby tu was nie było jutro rano. Na miłość Boga, co się stało?

— Nic się nie stało — uspokojony odparł Sykstus — odprawiono mnie i po wszystkim.

— Ale cóżeś zbroił? co? mów! — zawołał Sieboń.

— Nie wiem — markotno bąknął Warka — panu Żółtkiewiczowi coś do głowy przyszło, kazał mi się wynosić.

Sieboń popatrzał i zamilkł.

W tejże chwili z wielkim trzaskiem wpadła Wawrowa i stanęła we drzwiach ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, patrząc na Sykstusa.

— Aha! już coś delikacik zbroił! — zawołała — aha! Jegomość mi

przykazał, żebym jutro tę izbę oddała garbusowi, a drugą zamknęła póki nowy skrybent nie przyjdzie. Zakazał nawet śniadania dawać. Czemuż to fanaberja nie idzie jegomości przeprosić, do nóg upaść, jak ojcu, jak dobrodziejowi, ażeby przebaczył? he? fanaberja! fummy!

Sykstus milczał.

— Jak sobie delikacik pościele, tak się wyśpi! — dodała — i chciała wychodzić i zawróciła się.

— E! e! — zawołała głosem łagodniejszym — nie dąsaj się, młody jesteś, starego przeprosić nie wstyd, boćby bez przyczyny taki nie był zły, kiedy nigdy wprzód asindziejowi słowa nie odpowiedział

Sykstus podszedł do starej wzruszony.

— Dziękuję pani Wawrowej, dziękuję, to już musi tak być, musi.

Wawrowa wyszła, ale po drodze kleła Żółtkiewicza już.

— E! to stare tetryczysko, wątroba, gdzie on takiego porządnego chłopca znajdzie? gdzie? Czy nie garbus go zastąpi? I fu!

Sieboń napróżno się upominał w imię przyjaźni o tajemnicę, Syksns go uściskał, ucałował, popłakali się, ale mu nic powiedzieć nie mógł. Przez całą noc pakował się biedny, zbierał węzełki, gadali po cichu o różnych rzeczach, a dobyć z niego garbus nic nie mógł. Gdy przyszło nad rankiem pomyśleć, co zrobić z sobą, Sykstus dopiero całą swojego położenia trudność zobaczył. Nie miał nad trzy czy cztery złotówki w kieszeni, a przecież trzeba było żyć, najać gdzieś izdebkę i myśleć o sobie. Miał wprawdzie guz rubinowy po ojcu, jedyną pozostałość i pamiątkę, z tem się mu jednak rozstać było trudno, choćby o głodzie mrzeć.

Położenie było ciężkie. Szczęściem na myśl przyszło, iż mógł poprobo-

wać czyby go do kancelarji nie wziął Bołtuszewski. W istocie życzył on sobie nieraz mieć Sykstusa i żona namawiała go, aby się starał przeciągnąć tak zdolnego i uczciwego chłopca, inna to wszakże była rzecz, gdy Sykstus tego nie potrzebował, a teraz gdy był zmuszony się wprasać.

Poszedł nad rankiem, wysunawszy się z węzełkiem i kuferkiem do zajezdnego domu, a gdy już dobry dzień był, do Bołtuszewskiego.

Ten całę różnie mieszkał, dom zajmował na paradnej ulicy, a cisza panująca u Żółtkiewicza nieznana tu była wcale. Od rana kręcili się żydki, faktory, posłańce, goście, krzyk, wrzawa w kancelarji napchanej obcemi, w pokojach u jejmości, w izbie Bołtuszewskiego. Papierów rozrzuconych pełno wszędzie, rwetes, hałas, bieganina, nieład. Sam Bołtuszewski, jak najczęściej bywało, spuchły i

podwiązany, dyktował razem, pisał, klócił się i odpowiadał przez drzwi żonie, która mu pokoju nie dawała.

Sykstusa zobaczywszy, a myśląc, że był przysłany przez Zółtkiewicza, Bołtuszewski wybiegł żywo, rzucając wszystko. Zdziwił się, gdy mu ten oświadczył, że chce pomówić na osobności. Weszli razem do bokówki.

— Jestem bez zajęcia — odezwał się Sykstus — i przychodzę zapytać pana mecenasa, czy mnie do kancelarji wziąć nie zechce?

Bołtuszewski oczy wyszczerzył.

— A dlaczegoż bez miejsca? co to jest?

— Pan mecenas mnie uwolnił?

— Z przyczyny?

— Nie wiem.

Bołtuszewski śmiać się począł.

— A świadectwo?

— Żadnego mi nie dał.

— Mów waćpan otwarcie, co się

zrobiło? he? co? jakiego rodzaju? co! mów!

— Nic nie przekroczyłem.

— To może on? he?

— Najlepszy w świecie człowiek, owszem mam dla niego dozgonną wdzięczność.

— Ale cóż to było?

— Nie umiem sam sobie tego wytłumaczyć.

Boltuszewski popatrzał, ruszając ramionami.

— I patrzże asindziej — zawołał — przychodzisz do mnie bez świadectwa, odprawivszy się, czy odprawiony, tego owego, bez świstka, bez tłumaczenia, a chcesz bym ja na ślepo brał? Alboż ja wiem ccś przeszkrobał?

— Może się pan mecenas zechce spytać pana Żółtkiewicza — rzekł obrażony nieco Sykstus, kłaniając się i chcąc odchodzić. Wtem w progu zjawiała się piękna pani Boltu-

szewska, w przydeptanych pantofelkach, bosa, trochę nie ubrana, lecz jaśniejąca rumianemi policzkami i oczyma czarnemi. Popatrzała na Sykstusa, podeszła do męża, poczęła z nim szeptać, wyprowadziła go do drugiego pokoju, rozmowa jakaś żywa a prędką toczyła się między nimi, i Sykstus nie wyszedł z ganku, gdy Bołtuszewski go dogonił.

— Zaczekajże asindziej, coś znowu za pośpiech! Powróć do mnie jutro, ja się muszę z Żółtkiewiczem rozmówić. Zobaczymy.

Żółtkiewicz wcale się nie spodziewał tego, żeby Sykstus się uparł ustąpić, a wcale mu na myśl nie przyszło, żeby do Bołtuszewskiego się zaciągnął. Nad wyraz mu to było markotno, boć, nie bez tego, żeby tam z niego o tajemnicach dworku i kancelarji coś nie wyciągnięto, i, Sykstus był zdolny, więc się Bołtuszewski mógł nim wysługiwać, a

współzawodnictwo między niemi było bardzo żywe. Gdy po południu spotkawszy się w ulicy, Bołtuszewski zaczepił towarzysza zapytaniem o Sykstusa, ten aż drgnął z niecierpliwości i gdyby ukąszony, krew mu twarz oblała.

— Co on tam skrewił jegomości?

— zapytał Bołtuszewski.

— Skrewił? co! dla czego miał skrewić!—ofuknął stary — nie chcę go, nie potrzebuję, i kwita, negus jest i niezdolny.

— A no! gadaj to komu chcesz!—zaśmiał się drugi. — Coś zmalował?

— Nic nie zmalował! nic — gniewnie rzekł Żółtkiewicz — odprawiłem młokosa, abys go sobie asindziej wziął. Bierz, bierz. Dobranoc.

I tyle się tylko dowiedział. Naza jutrz postanowił go na spytki dobre wziąć, choćby z pomocą żony, bo go ta tajemnica korciła.

Gdy Sykstus nadszedł, Bołtuszew-



skiego zastał już oczekującego, przygotowanego, zbrojnego, aby z niego tajemnicę wydobyć.

Chłopak, wszedłszy uklonił się i milczał:

— No, cóż? — zawołał mecenas — pytałem się tego twego Żółtkiewicza, nie chciał mi powiedzieć nic, a wiesz asindziej o tem, że gdy się o kim nie chce mówić, znać nie ma co dobrego powiedzieć, a gdy o młodym chłopcu dobrze mówić nie można, to dlatego, że się go, złe wykrywając, gubić nie chce. Zatem wyciągnijże sobie z tego *quintum sensum*, znać żeś asindziej coś zbroił, może to być drobnostka, to się przynajmniej nietaj.

— Ja się nie mam z czem taić, ani on, zacny pan mecenas nie ma co ukrywać — zawołał oburzony Sykstus, któremu oczy pałały, nie zważając, iż w tej chwili piękna pani Bołtuszevska, w stroju zaniedbanym, w jakim zawsze chodziła, gdy nie

była wystrojona jak obraz cudowny,  
wślizgnęła się we drzwi i słucha. —  
Nie chciałem mówić dla tego, że  
rzecz opowiadania nie warta, a ja  
za dziwaka ujść mogę. Ale kiedy do  
tego przyszło...

Koniec tomu drugiego.



300P f--

112 12

509127

**Biblioteka Raczyńskich**

**JK2668**



**JK2668**